

Przebywać na samotności-pustyni, by spotkać Boga i braci

(Zeszyty Karmelitańskie)

Temat kontemplacyjnej samotności jest tematem nie bardzo nadającym się do pisania czy mówienia. Powinno się mówić na ten temat niezwykle powściągliwie, wręcz szeptać, nie ma tu bowiem jakichś „wygadanych” ekspertów.

Jeśli chodzi o terminologię, lepiej używać wyrażenia „pustynia” aniżeli samotność czy pustelnictwo. Określenia te bowiem obciążone są pewnymi znaczeniowymi przyzwyczajeniami, naleciałościami, które przeszkadzają w nie wejść i spokojnie, bez uprzedzeń się nimi zająć. Termin „pustynia” natomiast wydaje się być wyrażeniem bardziej obiektywnym i bezpiecznym, mniej obciążonym negatywnymi skojarzeniami. Jest to bowiem kategoria do głębi biblijna, „exodusowa”, paschalna, ewangeliczna, Jezusowa, chrzcielna. Występuje również w nomenklaturze karmelitańskiej.

„Wyjście na pustynię”

Kiedy mówi się „samotność” czy „życie pustelnicze”, to bardzo wiele osób zakłada na bazie utrwalonego stereotypu, że jest to coś trochę dziwaczного, w każdym razie przeznaczonego dla raczej rzadkich okazów z gatunku homo sapiens. Natomiast kategoria „pustyni” – jak można to zauważyć w Biblii – jest czymś, co na swojej drodze spotka absolutnie każdy chrześcijanin. Nie ma bowiem udanego procesu dogłębnej, ewangelicznej metanoi bez doświadczenia „pustyni” w różnych jej przejawach; chyba że ktoś chce funkcjonować poza drogą Biblii i poza drogą Jezusa. Jeżeli ktoś na drodze mozolnej realizacji swego chrztu nie chciałby zgodzić się na „wyjście na pustynię” wraz z Izraelem i wraz z Jezusem, nie ma szans ani na dogłębną metanoję, ani tym bardziej na osiągnięcie ewangelicznej dojrzałości. Jest więc kategoria „pustyni” – jak widać – kategorią bezpieczniejszą, mniej obciążoną. W ramach tej powszechnej dla wszystkich uczniów Jezusa kategorii „pustyni” są następnie pewne tematy bardziej specyficzne, bardziej zakonne, bardziej karmelitańskie takie, jak: samotność, cisza i milczenie oraz cela (cella, łac. cellula) z jej sakralnością, z jej małą duchowością. To wokół tych specyficznych elementów „pustyni” będziemy krążyć.

Powrócić do siebie samego...

Niemożliwe jest właściwe i twórcze odkrywanie swego powołania do wspólnoty, relacji, bez odkrycia i zaakceptowania różnych wymiarów samotności, i tej negatywnej, i tej pozytywnej. Chciałbym nawiązać do starej, zachodniej tradycji monastycznej, wyrażającej się łacińskim terminem habitare secum, co oznacza mieszkanie, przebywanie, przestawanie czy wręcz wytrzymanie z samym sobą, wytrzymanie siebie samego. Oczywiście, nie jest to możliwe bez nawiązania ze sobą ponownej relacji, bez spotkania się ze sobą samym. Co z kolei jest niemożliwe bez prześwietlania siebie, bez wytrwałego,

trudnego stawania w prawdzie o sobie samym – i tej pięknej pozytywnej, i tej trudniejszej, negatywnej, w tej prawdzie, która obnaża moje mity i fikcje, „szpan”, maskaradę, moje dziwne zagrywki, manipulacje i mechanizmy obronne, niepozwalające mi spotkać siebie samego. A przecież bez obnażenia tego wszystkiego, dalej chodzę w swoistej schizofrenii, w rozdarciu, w tym pęknięciu, jakie noszę w sobie od czasu dramatycznego wydarzenia, jakim był grzech pierworodny i ciągle nijak nie mogę spotkać się z samym sobą, a w konsekwencji nie jestem sobą. Ciągle mam przynajmniej dwa oblicza, jeśli nie więcej.

Otóż w owym *habitare secum* jest zawarta cała droga „powrotu” do samego siebie: zarówno w aspekcie statycznym – czyli do siebie takiego, jakim jestem w danym momencie historii mojego życia, jak i w aspekcie dynamicznym – czyli do siebie takiego, jakim mnie od zawsze widzi Bóg, który mnie stworzył, i który bardzo pragnie, abym powrócił do swojej pierwotnej oryginalności. A to oznacza też ponowne, głębokie spotkanie się ze sobą. Odkrycie siebie na nowo. Przebaczenie sobie. Dogłębne zaakceptowanie siebie (wśród też nieraz). To oznacza wreszcie pokochanie siebie na nowo, wolność wobec samego siebie, pogodny obcowanie ze sobą.

Wytrzymać ze sobą samym – dla siebie, dla wspólnoty...

Istnieje ogromna trudność, wynikająca z braku doświadczenia, by zrozumieć, czym jest prawdziwa kontemplacyjna samotność. Św. Benedykt mówi, że dopiero po wielu latach przebywania we wspólnocie braterskiej można stać się zdolnym do tego, by odejść na pustynię i tam twórczo i owocnie przebywać z samym sobą. Jak to ze sobą? Wydawać by się przecież mogło, że człowiek (spragniony mistyki, samotności) nie odchodzi na pustynię, aby tam obcować z samym sobą, ale aby owiany „łagodnym wietrzykiem” obcować z samym Bogiem. Okazuje się jednak, iż powrót do pogodnego przestawania z sobą samym jest sprawą na tyle istotną, że jeśli nie nastąpi spotkanie, pojednanie, utożsamienie się ze sobą, to nie ma szans – ani na owocne przebywanie na pustyni, ani na kontemplacyjne zjednoczenie z Bogiem. Wtedy dopiero zaczynamy odkrywać, że jest to genialne: „wytrzymać” ze sobą samym: i ze swoją piękną oryginalnością, i ze swoimi biedami i udrękami.

Jeżeli nauczymy się pogodnie i twórczo obcować ze sobą samym (*habitare secum*), wówczas okazuje się, że nie musimy przed nikim „pajacować”, nie musimy nikogo małpować, nie musimy też na nic najemniczo zasługiwać. Nie potrzebuję ludzi będących obok mnie czy innych jako nianiek do towarzystwa, jako „polepszaczy” humoru, co jest jakąś formą uzależnienia. Inni dalej są mi potrzebni i ja jestem im potrzebny, ale w zupełnie nowy sposób: w większej wzajemnej wolności. Na tyle głęboko odkryłem swoją wewnętrzną oryginalność, niepowtarzalność, godność, wartość, iż nie uzależniam jej od opinii nikogo na świecie. I na nic nie muszę zasługiwać, na nic zarabiać jak najemnik. Moja mentalność, mój styl życia opiera się teraz na darmości, na bezinteresowności, a nie na zasłudze.

To wszystko odkrywa się w samotności, sam na sam ze sobą i z Bogiem. Są w tej samotności takie chwile, które są rozkoszą, gdy przebywanie godzinami samotnie w celi czy na łonie przyrody jest autentyczną radością, a są też takie, które są udręką. Początkowo człowiek zastanawia się, niekiedy lekko poirytowany, co takiego z zewnętrznych warunków przeszkadza mu te chwile samotności przeżywać w wolności i pokoju. Zawsze potrafimy znaleźć jakieś mniejsze czy większe niedogodności w otaczającym nas świecie (ludziach, pogodzie itp.). Po pewnym czasie orientujemy się jednak, że nie tu jest istota problemu, że te wszystkie zewnętrzne niedogodności – choć czasem realne i dokuczliwe – nie stanowią

przeszkód głównych. Przeszkoda główna polega na tym, że to ja nie potrafię habitare secum. Nie potrafię ze sobą „wytrzymać”, „wytrzymać” samego siebie. A co dopiero spotkać się w wolności z kimś drugim. Dopóki nie odkryję i swojej nędzy, i swojej pięknej oryginalności, a nawet w pewnym stopniu – jakby wystarczalności samemu sobie (niemającej nic wspólnego z chorobliwym, egocentrycznym narcyzmem), dopóty nie jestem w stanie spotkać się w prawdzie i w wolności z inną osobą ani rzeczywiście twórczo budować wspólnotę.

Niezwykle ważne jest odkrywanie w sobie owych przeróżnych blokad, nieprawdopodobnie mocnych nieraz mechanizmów obronnych, które jeśli nie są odkryte i przepracowane, nie pozwalają nam pojednać się ze sobą, przebaczyć sobie, pogodnie ze sobą przestawać, co siłą rzeczy uniemożliwia lub osłabia przestawanie z moim Bogiem czy z braćmi.

Jezus wywołuje mnie ze stada, z masy, z bezimiennego tłumu, by mnie przetworzyć w oryginalną, wolną osobę, od nikogo niezależną, która nikogo nie udaje, nie stara się nikomu na siłę podobać.

Jezus nie chce, bym funkcjonował na poziomie banalności, na poziomie gadatliwości o wszystkim i o niczym, na poziomie hałaśliwej wzajemnej komunikacji, z której nic sensownego poza płytkim kumplostwem nie wynika. Bardzo chce natomiast, bym stawał się oryginalnym indywiduum, które w nowy, pogłębiony sposób komunikuje się z drugą osobą i wówczas zaczynamy tworzyć społeczność tych wywołanych z anonimowego tłumu. Jestem więc wywołany, wyodrębniony i muszę zazdrośnie tego strzec.

o. Serafin Tyszko OCD